



AGATA KOŁODZIEJCZYK

ROZARIUM

Miłość jak róża...
krucha, piękna,
naznaczona cierpieniem



**AGATA
KOŁODZIEJCZYK**

ROZARIUM



PROLOG

Londyn, rok 1881

Eleanor klęczała na płaskiej poduszce. Jej jasna suknia spoczywała na ziemi nagrzanej słońcem. Mimo zaawansowanej ciąży nie wyobrażała sobie, żeby jej ukochane róże miał pielęgnować ktoś inny. Codziennie sprawdzała, czy na łodyżkach nie pojawiły się mszyce lub któryś z pięknych kwiatów nie zaczął więdnąć. Pod słomkowym kapeluszem tuż nad linią czoła zebrały się perełki potu, ale kobieta nie zwracała na to większej uwagi. Z zapamiętaniem badała niemal każdy bladoróżowy płatek, niczym zapalony naukowiec. Tak bardzo pochłonął ją własny różany świat, że nie zauważyła, kiedy obok stanęła jej pięcioletnia córeczka z koszyczkiem w pulchnych rączkach.

Choć czasy były niespokojne, a świat techniki napędzał postęp w zastraszającym wręcz tempie, Eleanor interesowały jedynie nowe odmiany jej ulubienic, coraz wymyślniejsze, które nieodmiennie obdarzała nazwami przywodzącymi na myśl królową Wiktorię i jej świętę. Rozarium było rozległe i pochłonęło już sporą część warzywnika. Miało także swoją niewielką filię usytuowaną na podjedzie, gdzie prym wiodły odmiany starsze i bardziej odporne na mróz. Część muru i liczne trejaże pokrywały bujne pąki odmian pnących, a cała posesja przypominała bułgarski Kazanłyk.

– Rosie – zwróciła się do córki, której imię było naturalną konsekwencją niegroźnego dziwactwa matki – postaw tutaj koszyczek, kochanie, i powąchaj. – Nachyliła delikatnie kruchą łodyżkę w kierunku perkatego noska dziewczynki, a malutka istotka w jej łonie poruszyła się gwałtownie, jakby również chciała doświadczyć zapachu rumianego wnętrza woniącego kwiatu.– Daj rączkę, Rose, twój braciszek chyba chciałby się pobawić. Rośnie nam prawdziwy urwis. – Ujęła dłoń córki, a zbliżywszy ją do swojego wydętego brzucha, przechyliła nieznacznie głowę i uśmiechnęła się szeroko. Miała ten rodzaj uśmiechu, który koi złe sny i zabliznia krwawiące kolana.

Rozarium było istną oazą spokoju. Dom, położony w sercu Londynu, przylegał rozległym ogrodem do Regent's Park, co dawało dodatkową izolację od zgiełku rojnej metropolii. W słoneczne dni w całym domu czuć było intensywny aromat róż, a bzyczenie owadów niemal zagłuszało rozmowy domowników i ciche utyskiwania służby. Zimą rozarium mogło budzić skojarzenia z dobrze utrzymanym cmentarzem. Krzewy owinięte słomą i matami spoczywały w drewnianych skrzyniach w równych odstępach. Szczególnie ulubienice Eleanor, róże odmian herbatnich, potrzebowały takiego okrycia. Nieco dalej od głównych ścieżek, w cieniu muru, w niskich skrzynkach spoczywały nasiona i odłożone w piach tak zwane podkładki, na których Eleanor eksperymentalnie szczepiła szlachetniejsze odmiany. Po prawej, tuż przy szopce na narzędzia, wzniesiono niewielką szklarnię, mieszczącą co delikatniejsze wyniki eksperymentów. Kiedy weszło się do szklarenki, nos atakowała tak piękna woń, że zdawała się zesłana przez różane anioły. Na drewnianych postumentach i stołach stały miedziany alembik i kolby przygotowane pod produkcję olejków i wód różanych. Nieco dalej wisały ogrodowe fartuszki, czepki i rękawice, a poniżej, w zadziwiającym porządku, leżały na stoliku

ogrodowe utensylia, wszelkiej maści sekatory, dobrze zaostrome noże do oczkowania, nawinięte na drewnianą szpulę szpagaty.

Lipcowy poranek nieoczekiwanie przeobraził się w upalne południe, trzmielce i pszczoły uwijały się, zbierając miododajny pyłek, a matka z córką zastygły w błogości otulonej ciepłem szczęśliwej chwili.

Na przeciwległym krańcu ogrodu, tuż przy murze obsadzonym różami odmiany Persyan Yellow wylądowała jak gdyby znikąd kraciasta robotnicza czapka. Nakrycie głowy było mocno sfatygowane i zabrudzone, co uniemożliwiało określenie pierwotnego koloru kraty. Kaszkiet padł między wypielegnowane różane krzewy, strącając przy tym kilka płatków. Tuż za nim pojawił się młody człowiek. Zeskoczył z murku i jednym susem znalazł się na żwirowej ścieżce. Rozglądał się wyraźnie zdenerwowany i spłoszony. Ktoś go ścigał, co nie ulegało wątpliwości.

Eleanor i Rose nie od razu zorientowały się w sytuacji, tylko kątem oka, gdzieś na granicy uwagi kobieta zarejestrowała niespodziewany ruch. Instynktownie zasłoniła Rose własnym ciałem, brzuch otuliła rękami. Mężczyzna najpierw nie zauważył klęczącej kobiety, a potem, zdezorientowany, próbował dać ręką znać, że nic jej nie grozi z jego strony. Kobieta rozglądała się za ogrodnikiem, czy choćby jego nieletnim pomocnikiem, ale nikogo ze służby nie było w pobliżu.

Za murem narastał harmider. Ostry dźwięk policyjnego gwizdka i nawoływania wzburzonego tłumu. Ktoś krzyknął, a potem nad murkiem pojawiła się policyjna czapka, a za nią następna.

– O, tu jest!

– Stój! Słyszysz, stój!

Mężczyzna szybko podniósł się z kucek i widząc pogoń, rzucił się do szaleńczej ucieczki. Kiedy już niemal dobiegł do Eleanor, rozległ się strzał. Głuche „pach” wybrzmiewało jeszcze długo, niosąc się echem, a swąd

prochu rozchodził się smugą siwego dymu. Mężczyzna upadł na wznak obok klęczącej kobiety. To był głuchy dźwięk, przywodzący na myśl rzucanie ciężkiego tobołka z ramion. Spojrzała na leżącego i od razu zrozumiała, że to jego ostatnie chwile. Umierający miał nienaturalnie czerwoną twarz, nabrzmiałą krwią i cierpieniem, a błękitno szare tęczę skierowane ku niebu. Brudne ubranie, cerowana koszula bez kołnierzyka, wytarta pod pachami i zjedzona przez mole marynarka oraz zszarzałe i wyciągnięte na kolanach spodnie były już przesiąknięte krwią. Rdzawy, ostry zapach mieszał się z zapachem róż, uderzając w nozdrza Eleanor. Kobieta ujęła umierającego za ręce – dłonie miał zimne i brudne jak resztę odsłoniętego ciała. Spod warstwy kurzu i potu widać było ładną, nieco zuchwałą twarz z kształtnie uformowanymi ustami wykrzywionymi teraz w grymasie bólu. Młodym mężczyzną wstrząsały konwulsje. Plamki krwi – efekt przedśmiertnego kaszlu – obsiadły jak biedronki jasny krepdeszyn sukni Eleanor.

Policjant dobiegł do nich i odrzuciwszy kask wzniosł ręce do twarzy w geście rozpacz. Był młody, tak samo jak jego ofiara. Nagle ze wszystkich stron napłynęli inni policjanci i zaaferowana służba. Wszyscy byli równie przerażeni i zszokowani widokiem umierającego leżącego na ścieżce. Eleanor nadal trzymała zimną dłoń mężczyzny. Stephens, ogrodnik, który mimo artretyzmu przybiegł jako pierwszy, zajął się szlochającą histerycznie Rose. Młoda pokojówka Claire oraz jeden z pozostałych policjantów próbowali odprowadzić stamtąd również Eleanor, ale kobieta z trudem potrafiła wstać z kolan. Nagle poczuła potężny skurcz, po chwili następny. Policjant, który pomagał pokojówce, wziął ciężarną na ręce i kierowany przez służbę zaniósł ją do salonu.

– Co ja zrobiłem, Boże, co ja zrobiłem... – Po policzkach młodego stróża prawa spływały łzy, a przerażone spojrzenie utkwił w zabitym.

Niemal natychmiast o całym zdarzeniu poinformowano pana domu, Edwarda Waltersa. Akurat pochylał się w swym zacisznym gabinecie nad księgami rachunkowymi, śledząc ciągi liczb dociekliwym wzrokiem, kiedy przybiegł Henry, pomocnik ogrodnika z wiadomością o całym zajściu.

Od tej chwili w rodzinie zaczął się prawdziwy dramat. Eleanor słabła w oczach. Szok wywołał przedwczesny poród, ale ani położnica, ani maleńki chłopczyk nie przeżyli mimo wysiłków znanego w całym Londynie lekarza. Rose odesłano do siostry Edwarda, ciotki Helen, mającej starej panny przebywającej akurat w Londynie, u której miała spędzić kilka miesięcy z dala od żałoby i zamieszania. A Edward zupełnie nie potrafił się odnaleźć po tak dotkliwej i niespodziewanej stracie.

Tymczasem w świecie finansjery liczyły się szpony i kły, on zaś – idąc tropem zwierzęcych analogii – odsłonił miękkie podbrzusze. Nie będąc w stanie doglądać wszystkich swoich interesów, z polecenia przyjaciela zatrudnił pewnego gołowąsa, ambitnego i pewnego siebie, który pragnął zawojować cały świat. Kilkukrotnie bez wiedzy pryncypała podjął wątpliwe decyzje, przez co ściągnął długi na działający do tej pory jak w zegarku interes, po czym zmył się cichcem i tyle go widziano. Wszelkie konsekwencje poniósł więc wystawiony do wiatru pan Walters. Zubożały i nękany przez wierzycieli wyprzedał majątek niemal do cna, z bólem serca pozbywszy się również różanego królestwa swojej małżonki. Helen, jego młodsza siostra, doniosła mu w liście, że w okolicy Dorchester można niedrogo nabyć domek w sam raz dla niego. Do domeczku, niejako przypisana jest stara kucharka, która odgrywa także rolę służącej. Można go kupić od zaraz i, jak radziła Helen, trzeba to zrobić czym prędzej, ponieważ to atrakcyjna okolica i oferta może w każdej chwili zniknąć. Poza tym czyż to nie zrządzenie losu, że willa nosi imię jego małej córeczki? Spakował

więc za radą siostry wszystkie lary i penaty, i pożegnawszy na zawsze ukochany, ale okrutny dla niego Londyn, udał się na południowy zachód.

Ubożenie domu Waltersów postępowało oczywiście stopniowo, ale nieubłagane. Rose nie było dane debiutować w białej sukni na balu, a i gości miewali coraz rzadziej. Wszyscy niepomiernie ubolewali nad losem rodziny, nie chcąc jednocześnie być kojarzeni z domniemanym malwersantem i jego córką.

Kiedy przeprowadzili się do Rose Cottage, dziewczyna była najbardziej samotną istotą na świecie, pozbawioną zainteresowania ze strony ojca, który coraz bardziej zapadał się w siebie, matczynej troski odebranej jej tak nagle i jakiegokolwiek przyjaznej duszy, która pochyliłaby się nad losem podlotka. Większość czasu spędzała w kuchni z podstarzałą kucharką lub w swoim pokoiku, gdzie czytała powieści i wiersze, które kupowała za zaoszczędzone grosze. Jak niegdyś łaciny i greki, tak dziś uczyła się rozporządzania domowymi finansami i kalendarza ogrodnika. W dodatku kucharka zmarła niespełna miesiąc później, a jej mąż zabawił na tym łożu padole niewiele dłużej. Wkrótce i sam Edward Walters miał się poddać ponuremu żniwiarzowi, a nastoletnia dama, czując jednak, że coś trzyma ją w małym różanym domku, oparła się prośbom ciotki Helen o towarzyszenie jej w wyprawie do Florencji. Choć ta, jako jedyna krewna, pragnęła pomóc, na ośli upór dziewczyny nie było siły. Helen pragnęła dla siostrzenicy jak najlepiej i nieba by jej przychyliła, ale domyślając się, że ta musi przeżyć żałobę we własnym tempie, przystała na decyzję Rose. Wówczas też zjawiała się Mary, jedna z wnuczek zmarłej kucharki.

ROZDZIAŁ 1

Dorset 1898 rok

Rose Cottage był niewielkim, stojącym wśród bujnej roślinności domem z czasów georgiańskich, zbudowanym z wypłowiłych cegieł, krytym strzechą, która w lecie zapewniała przyzwoity przewiew, a zimą chroniła przed mroźnym wiatrem. Nie był przestronny, ale – jak to mówią – miał swój klimat. Wygodne kanapy zdobiły ręcznie wyszywane poduszki, na ścianach wisiały stare kilimy, a maleńkie etażerki wypełnione były po brzegi powieściami. Stał się przytulnym gniazdkiem młodej kobiety i jej służącej.

W okolicy było jeszcze kilka farm, na których mieszkali przeważnie ludzie pracy. Sąsiedztwo było zżyte i często sobie pomagano. Rozsiane po okolicy gospodarstwa dawały także tę miłą świadomość, że nie jest się samemu na świecie, szczególnie kiedy widziało się dym unoszący się nad zagajnikami lub poletkami oddzielającymi poszczególne farmy. Najbliższa należała do wdowy z chłopcem, który zaglądał do domku Rose pod byle pretekstem.

Zbliżała się pora obiadu. Słońce świeciło nie za mocno, ale na tyle, żeby przyjemnie prażyć skórę przez nieprzysłoniętą szybę. Z wnętrza okiennej roztaczał się widok na pola poprzecinane niskimi murkami z piaskowca, gdzieś rysowały się sylwetki zwierząt i nieliczne kępki drzew i krzewów janowca. Budleje w ogrodzie przylegającym do domu ugiwały

się pod kaskadami kwiatów, a lwie paszcze wyciągały główki, spijając zachłannie promienie słoneczne. Dom pachniał pasterską potrawką, której pieczenie służąca Tilly Davis, niemal równolatka swojej pani, doprowadziła do perfekcji. Rozumiały się z Rose niemal bez słów, chociaż Tilly, nieco zbyt trzpiotowata, miała niekiedy skłonności do słowotoku. Jak niemal każda młoda dziewczyna uwielbiała plotki o romansach i historie o duchach, a w szczególności o pannach umarłych z miłości.

Rose, właścicielka domostwa, siedziała wygodnie rozparta na obszernym parapecie w sypialni na piętrze, czytając po raz kolejny ukochaną powieść, *Narzeczoną z Lammermoor* Waltera Scotta. Jej kraciasta suknia była przerabiana już tyle razy, że straciła fason i ciężko było wywnioskować, do której epoki przynależy. Jednakże już dawno przestała się przejmować ubiorem, a starą sukienkę w kratkę lubiła najbardziej ze wszystkich. Dziewczyna miała dość pogodny i spokojny charakter. Potrzebowała głębszego namysłu, by podjąć ważną decyzję oraz tylko nieco mniej czasu, by podejmować te błahsze. W chwilach szczęścia emanowało z niej jeszcze dzieciństwo, które powolutku ustępowało pola dorosłości. Choć niektórzy nazwaliby ją starą panną, a inni panną na wydaniu, nie w głowie jej były zaloty. Dla niej istniał jedynie drukowany świat wspaniałych opowieści.

Ciche skrzypienie wąskich schodów zwiastowało nadejście Tilly, a dwa puknięcia do przymkniętych ledwie drzwi ostatecznie przerwały Rose lekturę, sprowadzając ją do rzeczywistości.

– Panienko, obiad.

– Czuję, Tilly. Dziękuję, już schodzę. – Służąca była blondynką o pełnych kształtach i brzoskwiniowej cerze – zupełne przeciwieństwo swojej bladej i wątlej pracodawczyni, której ciemne pukle często wymykały

się z upięcia, wpadając do oczu. Niechętnie odłożyła książkę. – Czy Lucas wie, że trzeba przyciąć krzewy i porąbać drewno?

– Tak, ale nadal narzeka na kręgosłup. Doktor Harris dał mu dobrą maść i kazał odpoczywać. Maści chyba nie stosuje, ale z odpoczynku korzysta jak mało kto.

– Jak tak dalej pójdzie, grusza zbutwieje i nie będzie się nadawała do palenia ani za rok, ani kiedy indziej. A krzewami chyba sama się zajmę. – Rose, mając za jedyną towarzyszkę młodą służącą, po części przejęła styl mówienia wiejskiej dziewczyny. Tilly zaś w swej nieśmiałej emancypacji starała się naśladować mowę pracodawczyni wychowanej w wielkim domu w dalekim Londynie. Choć właściwie wszystko je dzieliło, od pierwszej chwili zapałyły do siebie przyjaźnią.

Kiedy Edward Walters z córką, wówczas siedemnastoletnią, przybyli do Rose Cottage, całym ich majątkiem było kilka mebli, obrazów i medalik z miniaturką matki. Dziewczynka przywiozła ze sobą ulubione powieści oraz nuty, ale niestety nie było ich stać na pianino. Peter Harris, młody przyjaciel Edwarda, zaangażował wówczas Mary, starszą siostrę Tilly. Ta miała skrytego wielbiciela, Josepha Easterbrooka, pomocnika sklepikarza, z którym w miarę upływu czasu zaczęła się coraz mniej skrycie spotykać. Wkrótce potem rozdzwoniły się dla nich kościelne dzwony, a kilka miesięcy później w tym samym kościele odbyły się chrzciny pierwородnego państwa Easterbrook. By zarobek nie przeszedł w obce ręce, matka obu dziewczynek oraz, nawiasem mówiąc, dziewięciorga innych pociech, poleciła drugiej w kolejności córce przyjąć pracę u zubożałego przedsiębiorcy. Pewnego jesienno, nad wyraz dżdżystego wieczoru starszy pan, zasnąwszy przed ledwie rozpalonym kominkiem, już się więcej nie obudził. Tilly dość przytomnie posłała po doktora, który od tamtej pory zaczął nieformalnie czuwać nad Rose. W różanym domku zostały dwie

samotne młode kobiety. Niekiedy żartowały, że to istny babiniec, bo kury nie mają koguta, po domu spaceruje kocica, a obejścia pilnuje stara owczarzyca o wdzięcznym i nieco mylącym imieniu George, nadanym oczywiście na cześć George Sand, choć skądinąd George było dość powszechnym imieniem nadawanym psom pasterskim.

Po obiedzie obie siadły w saloniku przy swoich robótkach. Póki światła słonecznego starczyło, można było swobodnie pracować igłą bądź drutami. I tak Tilly cerowała pończochy, a Rose dziergała nową parę na zimowe miesiące. Gdyby którakolwiek wyjrzała wówczas przez okno, mogłaby zobaczyć wędrowca zmierzającego w ich stronę. Chód miał wyważony i stanowczy, a ubranie schludne i modne. Przybysz zdziwił się niebywałą bujnością roślin przed znajomym z dawnych czasów domkiem. Pamiętał Rose Cottage w dużo gorszym stanie, a teraz zdziczały różany ogród przed wejściem ustąpił miejsca kępom kolorowych bylin i ziół. Przed wejściem drzemał stary pies, który mimo obcego w obejściu, nie zareagował.

Mężczyzna zapukał do drzwi w nadziei na ujrzanie znajomej twarzy i wielkie było jego zdziwienie, kiedy pokazała się w nich młoda panna w jasnym fartuszk. Czyżby jego przyjaciel pokusił się o zaangażowanie służącej?

– Dzień dobry. – Uchylił uprzejmie kapelusza. – Chciałbym się widzieć z Marcusem Meaderem, nazywam się Thomas Reiley.

– On od dawna już tu nie mieszka, proszę pana. – Tilly musiała się nieco zastanowić, by wyłowić z odmętów pamięci to nazwisko. Chciała dodać coś jeszcze, choć nie bardzo wiedziała, co.

Z niewielkiego saloniku Rose dobrze słyszała tę wymianę zdań, odłożyła więc robótkę do wiklinowego koszyczka z pokrywką, wstając, wygładziła spódnicę i skierowała się ku drzwiom.

– Dzień dobry, może pan wejdzie?

Gospodyni wraz z gościem skierowali się do saloniku, a po krótkich instrukcjach szepniętych na ucho Tilly dygnęła i wycofała się do kuchni. Kiedy pan Reiley zdjął kapelusz, drugą ręką przygładził włosy koloru piasku. Był postawnym mężczyzną, w wieku trzydziestu, może trzydziestu kilku lat. Twarz miał ogorzałą, a przy jasnych włosach dawało to złudzenie, jakby Reiley stale przebywał na świeżym powietrzu. Ubranie wskazywało jednak na kogoś dość zamożnego, kto zarabia raczej siedzeniem za biurkiem. Gość usiadł na fotelu obitym w kratę, przypominającym szkocki tartan. Kapelusz złożył na kolanach i czekał, aż gospodyni, ładna młoda kobieta o migdałowych oczach, zacznie mówić pierwsza. W tym czasie do pokoju weszła Tilly, podzwaniając całą zawartością tacy. Jednakże bardzo zręcznie zaopatrzyła oboje w herbatę z mlekiem oraz bułeczki z powidłami.

– Szukał pan Marcusa Meadera. Obawiam się, że muszę pana zmartwić. On zmarł jakiś czas temu. Widzi pan, mój ojciec kupił ten dom jakieś pięć lat temu od pana przyjaciela. Udał się w podróż do swojego syna, o ile pamiętam. Zmarł w drodze przez Atlantyk, jeszcze na statku. Strasznieśmy się z ojcem zmartwili, kiedy dostaliśmy telegram. Gdyby był pan łaskaw poczekać, mogłabym go poszukać. – Wstała i skierowała się do kredensu. W dolnej jego części przechowywała pamiątki po rodzicach, osobistą korespondencję oraz ważne urzędowe druki, a także butelkę sherry i kapkę porto, która z pewnością już zdążyła zwietrzeć.

– O, mam. Proszę – podała zdziwionemu mężczyźnie nieco wymiętoszony poźółkły karteluszek.

Pan Reiley pospiesznie prześledził treść listu i oddał go. Jakby mimowolnie zarejestrowała fakt, że jego ręce, choć o wypielęgowanych paznokciach, nosiły ślady pracy fizycznej. Pobrużdżone, gdzieniegdzie ze starymi bliznami, równie ogorzałe jak twarz.

– Hmm... Tak, dziękuję pani bardzo. Szkoda, cieszyłem się na to spotkanie. – Zmartwiony podniósł się z fotela i kierował do wyjścia. Jednak przed progiem zatrzymał się i odwrócił.

– A czy nie zostawił nic dla mnie? Widzi pani, on nie miał syna, wydaje mi się, że płynął do mnie. Byłem jego zięciem. Wydaje mi się, że może czeka na mnie pewna skrzynka. – Miał miły tembr głosu, w którym mimo starań było można usłyszeć przeciągane samogłoski, co dobitnie świadczyło o irlandzkim pochodzeniu.

– Słucham?

– Dałem mu coś na przechowanie. Skrzynkę z narzędziami. Byłbym zobowiązany, gdyby ją pani odnalazła. Chociaż po tylu latach może już jej tu nie ma...

Nagły rozbłysk pamięci odmalował się na twarzy Rose.

– Tak, była pewna skrzynka. „T.R.” to pan! Powinnam ją mieć, proszę poczekać. Niech pan jeszcze usiądzie i dopije łaskawie herbatę, to może ją znajdę.

– Jeśli to nie byłby kłopot.

– Ależ skąd.

Kiedy tylko Rose wyszła, Tilly stanęła na progu kuchni w takiej pozie, by sama, będąc niezauważoną, obserwować gościa usadowionego w fotelu. Przeszło jej przez myśl, że widziała już tego mężczyznę, ale nie potrafiła sobie przypomnieć okoliczności. Nazwisko też wydawało się znajome, chociaż może jej się tylko zdawało, ponieważ i imię, i nazwisko było dość powszechne. Nie minęło kilka chwil, a w drzwiach prowadzących na tyły domu, gdzie usytuowane były zagrody dla zwierząt oraz ogródek warzywny, pojawiła się nieco zasapana Rose z kluczem w ręku.

– Przepraszam, ale jeśli mógłby pan pójść ze mną. Znalazłam skrzynkę, ale jest ciężka i niewygodnie byłoby mi ją nieść samej.

– Tak, oczywiście. – Reiley zerwał się po raz wtóry z fotela i poszedł za Rose.

Stara skrzynka narzędziowa z pięknie wyrzeźbionymi inicjałami stała w kącie drewnutni, przywalona starym chomątem i kołem niepasującym już do żadnego wózka. Mężczyzna odgarnął zawalidrogi i wyciągnął drewniane pudło. Kiedy tylko dotknął drewna, posmutniał, jakby dopadło go naraz wiele wspomnień.

– Tak, to ta – stwierdził sucho. Podniósł ją bez najmniejszego problemu. – Gdybym mógł coś dla pani zrobić...

– A mógłby pan porąbać drewno? – Niepodziewanie włączyła się do rozmowy Tilly stojąca tuż przy Rose.

– Tilly! – Upomniała ją pani domu. – Pan jest gościem! – Biedna służąca zaczerwieniła się po uszy, ale zaraz rozpromieniła się, słysząc dźwięczny śmiech Reileya. Mężczyzna śmiał się szczerze odchyliwszy głowę do tyłu, jakby usłyszał najprzedniejszy żart.

– Właściwie mógłbym – odparł, kiedy już się wyśmiał jak należy. – Niech pani nie gani dziewczyny, chciała dobrze – zwrócił się do pani domu.

Kiedy gość był już tylko wspomnieniem, Rose nie mogła się zdecydować, czy połączyć Tilly, czy pogratulować jej rezolucji i zapobiegliwości. Doszła do wniosku, że skoro żadna z nich nie zajmie się gruszą, a Peter, najstarszy brat Tilly, jest w kiepskim stanie po upadku z drabiny zeszłej wiosny, lepiej będzie zdać się na nieznanomego, zamiast marznąć zimą i nie mieć na czym gotować.

ROZDZIAŁ 2

Thomas Reiley zjawił się nazajutrz, całkowicie odmieniony przez ubranie. Nie przypominał już urzędnika, a bardziej robotnika: luźna koszula była wystrzępiona na mankietach i kołnierzu, lecz nie na tyle, by wyglądała niechlujnie, a poprzecierane spodnie zapewniały swobodę ruchu. Skwapliwie zabrał się do rąbania powalonego przez nawałnicę pnia gruszy, gdzieniegdzie zmurszałego i zaatakowanego przez kolonie mrówek. Pień pocięto piłą na kloce, jak zauważył dość wprawnie, ale nie były one porąbane na polana nadające się na opał. Mężczyzna pracował długo, systematycznie i bez wytchnienia. Pauzował jedynie wówczas, kiedy Tilly przynosiła maślanekę i pajdy domowego chleba z pieczonym mięsem. Obie panny osłonięte woalem firany zerkały raz po raz na pracującego. Rose przeszło przez myśl, jakby to było przyjemnie mieć przy sobie mężczyznę, który doglądałby obejścia i dbał, by w domu zawsze było czym palić, łątał dach i płot, a także wykonywał te wszystkie męskie obowiązki, które mężczyzna wykonywać powinien. Jej drugą myślą było jednak uzmysłowienie sobie, że takimi rzeczami zajmują się wynajęci robotnicy, a finanse to domena jej, Rose, a właściwie plenipotenta, pana Hardy'ego, do którego dziewczyna miała pełne zaufanie. Dysponowała kwotą po matce, która pozwalała na wygodne życie. Na tej kwocie bank i dłużnicy nie mogli „położyć łapy”. Z drobnymi sprawami domowego budżetu radziła sobie już od dawna, ponieważ to na jej głowie – i to od czasów

przeprowadzki – spoczywał ten obowiązek. Ale z drugiej strony miło byłoby mieć u boku mężczyznę, myślała. W tym czasie Tilly, najpierw podekscytowana wizytą gościa, potem skonfundowana swoim niefortunnym występem, uchwyciła się myśli, że Reiley upatrzył sobie pannę Walters na narzeczoną. Coraz podejrzliwiej zerknęła przez okienko, zdążywszy się uprzedzić do, jej zdaniem, typowego łowcy posagów. No i jeszcze to znajome nazwisko nie dawało jej spokoju. Będzie musiała spytać matki, którą odwiedzi pod koniec tygodnia. Niechętnie zostawia panienkę samą na całe popołudnie, ale zawsze miło jest wrócić do domu. Tu zresztą z pewnością wpadnie z popołudniową wizytą żona pastora, Stella Graham, i będzie po problemie. Niekiedy Tilly bardzo tęskniła za rodzinnym domem, ale u Rose znalazła prawdziwą przystań. Matka w jej wieku nosiła już pod sercem Mary, a ona nawet nie zna imienia chłopca, którego wypatrzyła w kościele.

Reiley wykonywał pracę sprawnie i machinalnie, nie poświęcając dziewczętom ani jednej myśli. Rozkoszował się znajomym powietrzem i wonią kwiatów. Za granicą, gdzie niemal zapuścił korzenie, brakowało mu znajomych krajobrazów, śpiewu drozdów i skowronków, szumu morza, kłosów pszenicy i tutejszych kobiet. Nigdy nie podejrzewał, że jest tak sentymentalny, zwłaszcza, że w Brazylii, gdzie spędził ostatnią dekadę, nie miał czasu na roztrząsanie przeszłości. Ale kiedy tylko wysiadł z pociągu na znajomej stacji, sam widok szyldu z nazwą miasteczka poruszył w jego sercu czułą strunę. Pierwsze kroki skierował do hotelu, a kolejne na cmentarz.

Wrócił jako człowiek zamożny. Miał zamiar wyremontować swój stary dom, a może nawet kupić większe gospodarstwo. Stać by go było również na ponowny ożenek, a miłych młodych panien z pewnością nie brakowało w okolicy. Widział trochę świata i znał swoją wartość, był więc pewien

swoich atutów na rynku matrymonialnym. Brak mu było jedynie wykształcenia, ale miał niejedną pasję, no i prenumerował przecież „The Cornhill Magazine”. Miło polećtało go również zaproszenie na obiad, którego się skądinąd spodziewał. Wymył się na podwórzu i na tyle, na ile mógł, doprowadził się do porządku. Pożałował, że nie zabrał niczego elegantszego do przebrania, ale mógłby się wydać podejrzenie przygotowany do tak niespodziewanego zaproszenia. Zapach potrawy z pulardy z agrestem rozchodził się po domu i drażnił mile nozdrza Reileya. Z przyjemnością usiadł do posiłku i to w tak miłym towarzystwie. Jadalnia nie należała, co prawda, do przesadnie wielkich, ale czuło się przytulną atmosferę, którą tylko kobieca ręka potrafi wyczarować. Posiłek okazał się równie smaczny, co świadcząca o nim woń, a konwersacja, choć prowadzona według zasad etykiety, przyniosła mu satysfakcję. Wracając do hotelu, pokusił się o mały spacer znajomymi ścieżkami. Szedł miedzą, a w zamyśleniu wyciągał dłoń, by poczuć dotyk złocących się łanów pszenicy. Skowronki śpiewały, a słońce przygrzewało mocno w kark. Niebo było błękitne, jak na dziecięcym rysunku, nawet kształt chmur przypominał puchate owce, jak to na dziecięcych malowidłach bywa. Minął kępę młodych brzózek, tworzących niewielki zagajnik. Liście drżały pod lekkim wiatrem, tworząc rozedrgane plamy słońca na soczyście zielonej trawie. W podobnym zagajniku, w dzień słoneczny jak dziś, pierwszy raz pocałował swoją Constance. Od jej śmierci minęło już tyle lat, że sam nie wiedział, kiedy serce tak bardzo mu stwardniało w miejscu, które wypełniała niegdyś jego żona. Była piękna, taką ją zapamiętał, ale to nie lata rozłąki naszkicowały wyidealizowany portret. Każdy, kto ją znał, wspominał o wyjątkowej dobroci serca współgrającej z pięknem oblicza. Miała drobne dłonie, stworzone do pieszczot, a nie zagniatania chleba, i wielkie serce, w którym znajdowały miejsce wszystkie boże stworzenia.

– Thomas Reiley, czy to pan? – z zamyślenia wyrwał go znajomy głos. Tuż przy nim zatrzymała się dwukółka wioząca wysokiego mężczyznę w letnim beżowym garniturze. Gniady koń prychnął zdziwiony nagłym postojem. Obok Petera Harrisa na miejscu pasażera leżała skórzana torba lekarska, wysłużona i nieodzowna.

– Doktorze, co za miła niespodzianka. Poznałbym pana wszędzie – Reiley osłonił oczy od słońca i uśmiechnął się szeroko.

– Idzie pan w stronę miasteczka? Podrzucę pana – sięgał po torbę, by usadowić ją między stopy, ale Reiley machnął tylko ręką.

– Dziękuję serdecznie, ale dzień taki piękny... Chciałem się przejść.

– Skąd pan wraca? Chyba nie z... – doktor wahał się, czy poruszyć wrażliwy temat, domyślał się bowiem, że Reiley może szukać teścia, lub oglądał to, co zostało z dawnego domu Reileyów.

– Nie, zatrzymałem się Pod Bykiem i Koroną, jeśli o to pan pyta. Chciałem odwiedzić starego Meadera. Nie wiedziałem, że zmarł, i to wiele lat temu, jak się okazuje. Poznałem nowych mieszkańców i właśnie wracam... – Reiley zauważył cień konsternacji na twarzy doktora. – Tam mieszkają dwie kobiety i nie miał kto porąbać im drewna. Stąd mój ubiór. Przecież nie wybrałbym się tak na wizytę – dodał już nieco ciszej.

– Wróciłeś, Tom? – doktor przeszedł na swobodniejszy, bardziej zażyły ton.

– Na razie tak.

– Henderson sprzedał swój młyn – zaczął Harris. – A Ashton Lodge ma nowego zarządcę, Flynn zmarł podczas epidemii influenzy w zeszłą zimę. W Rose Cottage od kilku lat mieszka panna Rose Walters z córką Davisów jako służącą. No i teraz praktykuję sam, doktor Trevett odszedł na zasłużoną emeryturę.

– O tak, pamiętam, jak u niego terminowałeś. Łajał cię za nowoczesne techniki leczenia.

– Aż mnie zęby bolały, gdy pomyślę o emetykach i lewatywie na wszelkie dolegliwości.

I tak na polnej drodze gawędziło dwóch starych znajomych. Wiele ich łączyło, choć na pozór ciężko byłoby stwierdzić, co konkretnie. Pierwszego życie nie oszczędzało, drugiego, wręcz przeciwnie, fortuna obdarowywała swoimi błogosławieństwami. Jeden szlifował międzynarodowe bruki, by ciężką pracą dorobić się małego majątku, drugi, bogato urodzony, walczył co najwyżej o uznanie wśród tutejszej socjety. Harris niegdyś był częstym gościem w domu Reileya z powodu słabego zdrowia Constance. Kiedy żona Toma zaszła w upragnioną ciążę, młody lekarz wpadał z wizytami nawet kilka razy w tygodniu. Nieodmiennie był mile widziany przez małżonków. Zdarzało się, że podrzucał Reileyowi jakąś powieść, a Constance obdarowywał smakołykami wypiekanymi przez swoją gospodynię, wiekową wdowę nazwiskiem Harvey. Słyszała ona z pomadek i przepysznych legumin, a wieść gminna niosła, że wiedzę tę posiadała, pichcąc słodkości dla samej królowej.

Kiedy po długim i przyjemnym marszu Tom dotarł do hotelu, zbliżał się już wieczór. Skowronki ustąpiły miejsca jerzykom, a niebo z lazurowego nabrało koloru indygo. Mężczyzna nie miał ochoty na kolację, ale zamówił zimne mięso i wino do numeru na wypadek, gdyby jednak głód dał mu się we znaki. Spod łóżka wystawała drewniana skrzynia ozdobiona jego inicjałami, wciąż jeszcze nieotwarta. Dokładnie wiedział, co zawiera. W myśli mógł ważyć w rękę każdy przedmiot i odtwarzać w pamięci jego fakturę. Odkładał jednak moment otwarcia w obawie, że wspomnienia przytłoczą go zbyt mocno. Tom Reiley nigdy nie był skłonny do wypitki ani do bitki i choć był wrażliwy na kobiece wdzięki, nie szukał romansów

i kochanek. W São Paulo, gdzie spędził ostatnie trzy lata, był związany z Gerti. Poczciwa Gertrude Schmitt z Düsseldorfu, podająca się za wdowę, wróciła jednak do męża, gdy ten tylko pokazał się w drzwiach, a wystrychnięty na dudka Reiley po prostu spakował manatki i wrócił w rodzinne strony. Wobec Gerti żywił ciepłe uczucia, ale miłością romantyczną nie mógł tego nazwać. Zżył się z nią i było mu dobrze. Wracał do ciepłego i czystego mieszkania, a na stole czekała na niego smaczna strawa. Niemka była schludną i zaradną panią domu. Oszczędna z natury, potrafiła doskonale gospodarować pieniędzmi, nie wydając na zbytki. Miała małe potrzeby, ale wychowana na pobożną chrześcijankę do kościoła nosiła się niemal po pańsku. Uraziło go kłamstwo kochanki. Ale to nie honorem się uniósł, podejmując decyzję o powrocie. Już od dawna nosił się z takim zamiarem, a powrót żywego pana Schmitta przelał jedynie czarę. São Paulo, jak i cała Brazylia przeżywała istne oblężenie imigrantów z całej Europy, zjeżdżali tu już nie tylko wykwalifikowani robotnicy, specjaliści w swoim fachu, ale i małorolni chłopcy, boscy i niepiśmienni, odziani niekiedy w kolorowe stroje znamienne dla swoich wiosek, a plantacje kawy pełne były chorujących i głodujących niewolników. Chciał zostawić za sobą nieprzyjemne wspomnienia. Dzisiejszy, tak błogi dzień pozwolił mu odwrócić myśli od znoju dnia codziennego, od Gerti, plantacji i ciężkiej przeprawy przez Atlantyk, ale nie miał tyle odwagi, by ze spokojem patrzeć w przyszłość.

Drewniana skrzynia zdawała się przywoływać spojrzenie swojego dawno niewidzianego właściciela. Upiwszy łyk wina, wstał z zamiarem otwarcia wieka. Kiedy jednak zasiadł z nią przy stole, delikatnie gładził żłobienia, rysy i na wpół zardzewiałe zawiasy. Niewielki prosty skobelek ustąpił z trudem, pod wpływem rdzy zapiekł się nieco. Farba już dawno się złuszczyła, co były konsekwencją warunków, w jakich przechowywano

skrzynię. Oprócz kilku narzędzi potrzebnych w pracy stolarza w kuferku Reiley znalazł swoje skarby. Kieszonkowe wydanie sonetów Shakespeare'a, które podarował Connie, jej podobiznę naszkicowaną ołówkiem stolarskim, krzyżyk zmarłego tragicznie brata, a także maleńką czapeczkę z błękitną wstążką i zielonymi gałązkami mirtu. W czepeczku Seana, jego maleńkiego synka, mieściły się również maleńkie skarpetki z lamówką obszytą błękitną nicią. Bardzo delikatnie obracał w palcach relikwie utraconej przeszłości, a kiedy podniósł maleńką, zdobną w wytłaczaną skórę książeczkę, wypadł z niej ususzony kwiat. Tom zbliżył spłaszczone płatki do nosa, ale jedynym, co poczuł, była woń stęchlizny, papieru i czegoś, czego nie umiałby nazwać, a co kojarzyło mu się z ulotnością chwili.

ROZDZIAŁ 3

Dalsza część dostępna w wersji pełnej

SPIS TREŚCI:

Okładka

Strona tytułowa

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Epilog](#)

[Posłowie](#)

[Strona redakcyjna](#)

Copyright © 2026 by Agata Kołodziejczyk

Copyright for this edition © 2026 by Grupa Wydawnicza Axis Mundi

REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska

REDAKCJA: Agnieszka Sabak

KOREKTA: Renata Minior

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Anna Slotorsz

WYDANIE I

ISBN 978-83-8412-502-1



Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.

Niniejsza powieść stanowi wytwór wyobraźni, a wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych, wydarzeń i miejsc jest całkowicie przypadkowe.

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek